

WIKTOR
HAJDENRAJCH

SĄSIAD
TO WAŻNE
SŁOWO

Tom I

Koszelewo-Lida-Wilno. Na wirażu dziejów.

WIKTOR
HAJDENRAJCH

SĄSIAD
TO WAŻNE
SŁOWO

Tom I

Koszelewo-Lida-Wilno. Na wirażu dziejów.

Wydawnictwo Horyzont Idei
Toruń, 2022



SĄSIAD TO WAŻNE SŁOWO

TOM I

Słowo wstępu od Autora	...7
Preludium	...11
Życiowa konieczność	...17
Koszelewo	...81
Budowanie	...107
Loretta, 1933 r.	...153
Wilno, 1936 r.	...187
Wiosna, 1939 r. Dorofieja, Danyła i Danuta	...265

Słowo wstępu od Autora

WYOBRAŹ SOBIE, że przenosisz się do 1979 roku. Do drzwi mieszkania, tego przy ulicy Giermków, stuka ponad siedemdziesięcioletnia kobieta, która żyła tam w okresie międzywojennym. Ma na imię Annelore Heike. Nie wie kogo zastanie za drzwiami, ale świadomość nieuchronnego końca życia sprawia, że postanawia odnaleźć pamiętnik, który kiedyś, dawno już, schowała pod podłogą, w jednym z pokoi. Ów sztambuch zaczęła pisać w 1920 roku, mając piętnaście lat, skończyła w lutym 1945 roku, gdy ruska armia zajęła Elbing, a ich, Niemców, po prostu wygnano z miasta. Teraz w tym domu mieszka już inna rodzina...

– Twoja?

– Tak. I w tym mieszkaniu żyje osoba, która jest jakby przeciwieństwem do Annelore, trochę jakby jej *alter ego*. To Anna, moja Babcia. Oj, to była niebanalna osoba! Wykształcona, wybitnie inteligentna, fenomenalny talent do języków! Wiesz, że Babcia w okresie międzywojennym, mając dwadzieścia kilka lat, nauczała w bogatych niemieckich domach języka francuskiego i francuskiej literatury? Podobno mówiła tak perfekcyjnie, że jej mowy nie dało się odróżnić nawet autochtonom. Posługiwała się trzema językami: niemieckim, rosyjskim i polskim. Do Elbląga przybyła spod Nowogródka, z Kresów. Nie przybyła! Została z tych ziem obrzydliwie wygnana.

- Ciekawe... Annelore Heike została wygnana z Elbląga, zaś Annę przygnano do Elbląga... I co dalej?
- Anna i Paweł, Jej mąż, mój Dziadek, osiedlili się na Kresach, pod Nowogródkiem, we wsi, która nazywa się Koszelewo. Mama opowiadała mi, że oni tam mieszkali, że Dziadek był pewnego rodzaju wiejskim sędzią i jednocześnie lekarzem...
- Lekarzem?
- Tak. Podobno ukończył wojskowe kursy felczerskie, przydatne na polu walki i często powtarzała, że jego mądrość, taka życiowa mądrość, wynikająca ze służby w wojsku, a u Babci to nieprawdopodobne otrzaskanie ze światem i fenomenalna znajomość języków, spajały całą tę kresową „wieżę Babel”, w której przyszło im mieszkać, czyli tę wieś – Koszelewo. Jednak Babcia podobno zawsze tęskniła do Monachium... Postanowiłem napisać o tym powieść. Pierwsza część dotyczy losów tej wygnanej z Elbląga Niemki, Annelore Heike (*Elbing-Elbląg. Na zakręcie historii*), zaś druga – historii zagnanej do Elbląga Polki, Anny (*Sąsiad to ważne słowo. Na wirażu dziejów*, t. I i II).

[***]

Skoro tylko zacząłem pisać, gdy pomysły wypadały jak z rękawa i mnożyły się jak króliki Lejzorka Rojtszwanca, szybko zorientowałem się, że w takiej postaci ja tego nigdy nie skończę. Bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że nie może to być po prostu historia mojej rodziny, bo od historii są historycy, ale chciałem zachować pewien ścisły rys historyczny, na tyle, na ile tylko pozwalała mi na to wiedza o prawdziwych wydarzeniach z życia moich bliskich. Pojawiały się kolejne pomysły, z zakamarków pamięci wygrzebywałem strzępy rozmów o naszej rodzinie z Mamą, co powodowało otwarcie następnych, ekscytujących wątków i... czystą, najczystsza rozpacz. Z czego mam zrezygnować? Co w ogóle odrzucić? Co ciągnąć dalej? Nigdy nie miałem tak wielkiego nadmiaru pomysłów, a co za dużo to... i tłusty wieprz nie zje!

W dodatku cały czas coś mnie uwierało. Jakiś robak wewnątrz mówił mi, żebym sprawdził czy informacje o Annie, które znam z opowiadania Mamy, są prawdziwe. Wciąż jeszcze żyła już wówczas

93-letnia ciocia Aldona, pasierbica Anny, jedna z postaci przedstawionych w powieści, ale wieść gminna niosła, że ma demencję, więc nie było sensu w ogóle o cokolwiek ją pytać. Wydawało się, że sprawa jest beznadziejna, ale los, w takich sytuacjach życzliwy wobec mnie, wskazał mi na Wojskowe Biuro Historyczne w Rembertowie koło Warszawy, gdzie, ku memu ogromnemu zaskoczeniu i zdziwieniu, prawie ocierającemu się o czkawkę, odkryłem, że zachowała się dokumentacja osobowa dziadka Pawła, przedwojennego chorążego Wojska Polskiego.

Do Warszawy wyjechałem z dwugodzinnym zapasem, który na wysokości Mławy stopniał do czterdziestu minut. Korki, wszędzie korki, zupełnie jakby ktoś z Nieba starał się, by tajemnice Dziadka Pawła, zakłete w kilkunastu pośliskłych kartkach, nie dotarły do moich oczu... Z Rembertowa wracałem, jakbym oberwał ciężką pałą przez łeb. Wszystko, co wiedziałem, było nie tak. Dziadek nie walczył pod Piłsudskim, dlatego nie mogłem go znaleźć w spisach Kompanii Kadrowych, Dziadek walczył pod generałem Dowborem-Muśnickim, czyli do Polski przyszedł od wschodu. Okazało się, że Dziadek z Babcią nie dostali żadnego nadania, wystąpili o nie w 1939 roku, ale to było już o kilka lat za późno. Gdzie w takim razie mieszkali? Mama mówiła, że na wsi, niedaleko Marulin i Kuścina... Kompletnie nie wiedząc, co z tą wiedzą zrobić, bo przecież rozbiła mi zupełnie wszystko, co napisałem, w akcie rozpaczcy zapytałem o ciocię Aldonę, najstarszą córkę dziadka Pawła.

- A skąd? Jaka demencja? Co ty wygadujesz? Ciocia jest nie-sprawna fizycznie, ale umysł ma jak brzytwa. Wiem, bo byłem u niej wczoraj!

Następnego dnia byłem już u cioci, której długa i szczegółowa opowieść, wpędziła mnie w jeszcze większą rozpacz. W szale poprawiania, nie umiałem jednak pozbyć się Koszelewa, w którym oni nigdy nie mieszkali, a które ja już posoliłem, popieprzyłem i zamarynowałem! Musiała Mama coś pomylić, a może to ja coś źle usłyszałem? Przecież rozmawialiśmy o tym przed trzydziestu pięć laty, a czas to okrutny stolarz, z jeszcze gorszym heblem...

Ich domem, do września 1939 roku, była Lida, koszary generała Rydza-Śmigłego 5/12. Ale Koszelewo było tak ważne, kluczowe

z punktu widzenia całej powieści, która bez niego nie miałaby żadnego sensu. I olśniło mnie, że przecież mogli tam mieszkać, prawda? Nikt przecież nie zabroniłby im wtedy przenieść się na wieś, do młynarza, kowala, rzeźnika Vytautasa, Gintaure, Żyda – karczmarza, Dorofieji, Anfisji, Danuty, Haponiukowej, Danyły, Olhgi, Sierhieja i Pięknej Pani ze Stawu?

I tak powstała książka: *Sąsiad to ważne słowo*. Jest w niej trochę historycznej prawdy, znajdzie się też szczypta wyobraźni (taka szczyptuchna, szczypciochna). Mieszają się ze sobą na tych niemal siedmiuset stronach, w (oby smakowitym) gulaszu tak, że czasami sam już na pierwszy rzut oka nie pamiętam czy tak rzeczywiście było, czy nie. Muszę się chwilę pozastanawiać, bo przecież ta książka nie jest podręcznikiem do historii, o nie!

A czym jest?

Jest fabularyzowaną opowieścią o życiu dwojga świadomych ludzi dla których, już z samego tylko faktu mieszkania tuż obok, sąsiad zaczyna być kimś bardzo ważnym, komu zawsze należy się zarówno pomoc, jak i zrozumienie, często pomimo jego niechęci, uprzedzeń, a nawet wrogości całej społeczności, ocierającej się o anatemę, o wykluczenie, o ukaranie... Za co? Nikt już nie pamięta...

Nieważne czy jesteś Polakiem, Litwinem, Białorusinem, Żydem, Niemcem, czy Ukraińcem. Nieważne czy chodzisz do kościoła, cerkwi, synagogi, czy zboru. Jeśli tylko nas szanujesz, prawdziwie, jesteś nasz! Jesteś Sąsiad! A: „Sąsiad to ważne słowo, kto wie, czy nie najważniejsze?”.

Preludium

ZAPACH KARBOLU czy lizolu robił się coraz bardziej dokuczliwy, w nosie zaczynało drapać. Starszy dyskretnie kichnął raz, później drugi, nie pomogło. W końcu zrobiło się tak gęsto, że zaczęło szczypać w oczy, więc kolejne kichnięcia, które wydał z siebie, nie przypominało tamtych dwóch – było mocne, odbiło się od wymalowanych na jadowicie biały kolor sufitów, od ciężkich, drewnianych, białych drzwi, od naświetli, które powstawiano nad nadprożami na całej długości szerokiego, wykafelkowanego na biało, a jakże, korytarza. Szpitalne zapachy, które od pewnego czasu zagościły w ich domu i z którymi, wydawało się, już jakoś się żył, tutaj stały się na powrót nieznosne, obrzydliwe, wywołujące odruch wymiotny. W domu smród środka dezynfekcyjnego trochę łamał równie obrzydliwy, słodki, gęsty, duszący, ale mniej ostry, zapach spirytusu salicylowego, którym Mama od czasu do czasu przecierała plecy Babci, podtrzymujące cały Jej ciężar, nieprzytomnej, leżącej na swoim tapczanie, w swoim pokoju, pod swoją kołdrą, a czasem i bez niej. Tutaj kondensacja smrodu karbolu wywracała mu żołądek. Gdyby nie chodziło o Nią, o Babcię, natychmiast wyszedłby na świeże powietrze, tego dnia dość chłodne, przenikliwe, nie takie, jakie powinno być w pierwszych dniach jesieni.

Pierwszy udar, nazywany przez rodziców wylewem, był lekki, trochę tylko zaburzył Jej umiejętności chodzenia. Po kilku dniach pobytu w szpitalu, przywieziona samochodem wujka Jurka, na swoim szlafroku przeniosła do domu te obrzydliwe, szpitalne wonie. Starszy

spodziewał się, że w krótkim czasie znikną, ale one uparcie dawały o sobie znać, jakby jemu na złość, drażniły swoją bezczelnością. Wietrzenie, spryskiwanie domu płynem o zapachu sosny, nic nie dawało: ta słodkawa, ostra woń, która jednym kojarzy się z nadzieją, jemu raczej z tym, co nieuniknione, ale co odrzucał od siebie całą siłą swoich kilkunastu lat, czasem tylko zagryzając wargi do krwi. Wydawało się, że weszła w ściany, w wyłożone płytami pilśniowymi podłogi, w każdy zakamarek domu. Ilekroć wracał ze szkoły, od progu czuł karbol, co budziło w nim strach i chęć ucieczki, nie wiadomo dokąd, przed siebie, byle nie odczuwać, byle zapomnieć.

Drugi wylew, trzy dni temu, dopadł ją w łóżku, znów trafiła do szpitala, tym razem całkowicie sparaliżowana. Zabierana z domu na noszach przez dwóch silnych facetów, nie wykazywała oznak życia, była bezwładna, bez kontaktu, nawet się nie uśmiechnęła, jak to miała w zwyczaju, ale oddychała, serce biło równo, a to dawało jakąś nadzieję. Natychmiast została zabrana na oddział o złowieszczej nazwie: „Neurologia”. Położona do łóżka, cały czas leżała nieprzytomna, nieruchoma, z zamkniętymi oczami, nieświadoma, że z kącików ust stale wypływała Jej strużka śliny. W ciągu tych dni pobytu w szpitalu nie zmieniło się nic. Podpięta pod aparaturę, pod kroplówki, leżała bez kontaktu, w pustej sali, sama, samiutka jak palec. Od czasu do czasu zaglądała do Niej pielęgniarka, poprawiała pościel, zwilżyła Jej wyschnięte wargi patykiem owiniętym gazą nasączoną wodą, sprawdziła, czy płyny prawidłowo wlewają się w Jej organizm i wylewają z niego, czy nerki pracują dobrze i czy wątroba też. Chwilę posiedziała i szła do innych, równie ciężko chorych, równie nieprzytomnych. I wtedy Babcia znów zostawała sama, z nadzieją, że wspomagana przez leki jakoś się zregeneruje, jakoś odzyska przytomność, jakoś wróci do tego świata, jakoś zacznie kontaktować się z otoczeniem, przede wszystkim z wnukiem, odwiedzającym ją codziennie nawet po kilka razy. Jakoś... Trzeba było czekać.

Oddział neurologii mieścił się na pierwszym piętrze starego, ponemieckiego jeszcze, szpitala. Przerazał swoją bezosobowością i bezdusznym rytmem korytarza. Rząd takich samych drzwi, takich samych naświetli, rozjaśnionych teraz wpadającymi do sal promieniami jesiennego słońca, białe i czarne kafelki na podłodze, ułożone w symetryczny wzór o jednostajnym rytmie, przesuwały się ludzie

w białych fartuchach. Niektórzy z nich w czepkach z czarnym, szerokim paskiem, inni z przerzuconymi przez szyje słuchawkami, symbolem władzy lekarskiej – wszyscy poważni, skupieni, niedostępni i żyjący w swoim świecie, do którego profanom wstęp wzbroniony. Ale tam za jednymi z tych strasznych drzwi, tam gdzie widniała wymalowana czarną farbą liczba „20”, leżała Ona, Babcia, a w zasadzie to, co z Niej zostało po tej stronie – sprawnie funkcjonujący organizm bez centrum świadomości. Jedna z pielęgniarek, młoda, śliczna dziewczyna z długimi blond włosami, zgarniętymi czepkiem, która najczęściej do Niej zaglądała, powiedziała, że ma wrażenie, że pani Anna i słyszy i rozumie, ale ofuknięta przez nadętego, bardzo pewnego siebie lekarza, który kazał do siebie mówić: „Panie Ordynatorze”, zamilkła, z niedowierzaniem słuchając, jak ostrym, nieznośnym sprzeciwu tonem mówi, że to już koniec, że Babcia jest odkorowana, że żyje tylko ciało, że tam, w środku, nie ma już nic. Kompletnie nic. Pustka. Nie powtórzyła tego Starszemu, ale on wiedział. Ordynator, potężny mężczyzna z wielkim brzuchem i długą, siwą jak mleko brodą, w mało delikatnych słowach wyklepał wyuczone formułki, sugerując jednocześnie, by zabrać ją do domu, bo potrzebne jest łóżko, każde z nich jest na wagę złota, inni pacjenci czekają. On nie może trzymać w szpitalu kogoś, u kogo zanikły, jak to powiedział, wszystkie wyższe funkcje...

„Jak to, »tam nie ma nic«? Jak to? Ona tam jest, Ona, Babcia! Ona tam jest i stamtąd wyjdzie. Ona opuści w końcu tę klatkę, to tylko kwestia czasu!” – myślał, gdy naciskał klamkę owiniętą bandażem nasączonym roztworem kwasu karbolowego, którego strużka spłynęła mu po rękę i zalała zapięty szczelnie mankiet koszuli.

Leżała na łóżku stojącym krótszym bokiem pod jedną ze ścian, tak jak ją wczoraj, przedwczoraj, trzy dni temu zostawili: na plecach, z zamkniętymi oczyma, z zaschniętymi wargami. U wezglowia, na szafce, siedział nieduży, pluszowy miś, na którego nadęty „Pan Ordynator” łaskawie się zgodził, ale wcześniej nakazał sumiennie spryskać go roztworem karbolu, więc dziś jego futerko wyraźnie zblało. Nie było już czekoladowobrązowe, a jakieś płowe, może bardziej sjena palona, czy jakoś tak. Rozejrzał się na boki, nic nie przybyło, nic nie ubyło, więc usiadł na białym stołku, ciężkim, metalowym. Zrzucił kurtkę, położył ją na drugim ze stołków, po czym chwycił Jej rękę, leżącą na przykrywającym ją prześcieradle. Była ciepła i bezwładna,

Jej skóra, jak to u starszych osób, była pergaminowa, gładka, miała żółtawy odcień. Trzymał ją przez chwilę, oswajając się z tym bezdusznym otoczeniem, które zawsze wprowadzało go w stan lekkiej paniki – uciekać, uciekać! – przed którą ratował się, patrząc na Jej twarz, szukając choćby najmniejszego śladu Jej obecności. Nie było.

Uchyliły się drzwi, wsunęła się ta śliczna pielęgniarka. Podeszła do Niej, zajrzała do butelek wiszących na stojakach, spojrzała na schowany dyskretnie po drugiej stronie łóżka worek na mocz i zapisała coś na karcie wiszącej na szczycie łóżka. Odwiesiła jego kurtkę na wieszak, po czym ogarnęła rąbek kitla na wysokości kolan i usiadła obok niego, na drugim stołku, patrząc Jej w twarz.

- Widziałeś coś? Jakies drgnięcie powieki, jakiś lekki grymas, jakiś skurcz warg? – spytała przyciszonym, lekkim sopranem.
- Nie, nic nie widziałem! – powiedział speszony, widząc kątem oka, jak niesforny kitel zsunął się Jej z kolan, co dostrzegła i natychmiast zakryła je dwoma płatami białej bawełny.
- Ale przecież już powinna... – rzuciła szeptem.
- Udar był rozległy, to fakt, ale ludzie w daleko gorszej sytuacji, po dwóch dniach, gdy mijał pierwszy kryzys, zaczęli dawać oznaki życia. Świadomego życia – natychmiast się poprawiła, zakładając nogę na nogę, co znów spowodowało odkrycie kolan, ale machnęła na to ręką. Nie chciało się Jej cały czas poprawiać krótkiego ubioru, a on niech sobie popatrzy, to w końcu przecież tylko kolana.
- Nie, nic nie ma! – powiedział. – Ja nic nie widziałem – powtórzył, starając się utrzymać wzrok na twarzy Babci.
- No dobrze – odparła, wstając. – Gdybyś coś widział, natychmiast daj nam znać, będę w dyżurce! – rzuciła jeszcze, obróciła się i wyszła, błyskając jasnymi pończochami na swoich zgrabnych, szczupłych nogach. Ale on tego już nie widział, bo nagle dostrzegł, że przez twarz Babci przesunął się przelotny uśmiech i usłyszał:
- Podoba ci się ta dziewczynka? Wcale ci się nie dziwię. Śliczna, a jakie ma zgrabne nóżki... Bylibyście ładną parą!

- *Babciu...*
- *Co, „babciu?” – usłyszał Jej matowy, ochryply od tysięcy wypalonych papierosów alt.*
- *Co ci nie pasuje? Nie jest śliczna? Nie ma zgrabnych nóg?*
- *No... jest... ma...*
- *Nie podoba ci się?*
- *No... podoba! – Zaczerwienił się.*
- *To ja ci mówię, byłaby z was ładna para.*
- *Ale, Babciu!*
- *Wstydzisz się? czego? – nagle umilkła. Do pokoju wsunęła się dyżurna lekarka, z misterną fryzurą i makijażem, poważna, ale nie tak nadęta jak tamten ordynator.*
- *A... rozumiem, rozmawiasz z Babcią! Rozmawiaj, mów do niej, to bardzo pomaga im wyjść z tego zamkniętego, zatrzaśniętego pomieszczenia, w którym brutalnie zamyka ich choro-
roba. Ewa zaglądała?*
- *Tak, była przed chwilą.*
- *Dobrze. Niby wszystko jest w normie... Nie zaobserwowałeś żadnych objawów, że Babcia jest z nami? – zapytała, patrząc na jeden z monitorów. – Nie? Niby organizm pracuje prawidłowo, serce, płuca, nerki, wątroba wszystko działa, niby wszystko w normie – powtórzyła jakby nieco machinalnie. – Nie ma nowych ognisk udaru, tamte widać już się pozamykały, a mimo to głowa nie chce ruszyć. Musimy czekać. Przychodź tu codziennie i mów do Babci. To pomoże wam obojgu, ale teraz już idź do domu, ona może być zmęczona twoją wizytą, powinna dużo spać.*

Stał przed drzwiami i kładł rękę na klamkę, gdy raz jeszcze się obrócił i dodał:

- *Do widzenia, Babciu. Do jutra.*
- *Do jutra, Piotruś. Przyjdź odrobinę wcześniej, bo Ewunia jutro kończy zmianę o 13.30, a pewnie nie darowałaby sobie, gdyby ciebie nie zobaczyła.*

– Babciu!

Drzwi zamknęły się z cichym szumem, lekko objając futrynę. Znów została sama w pokoju, w którym niepodzielnie panowała cisza, lekko tylko rozpulchniona szumem aparatury, kroplami spadającymi z butelek, pikaniem kardiomonitora. Chyba na chwilę, na jakiś ułamek sekundy, wróciła do rzeczywistości, przynajmniej mentalnie, ale nadal nie wiedziała, czy w leżącej na szpitalnym łóżku powłóce jest Ona, czy jakaś inna osoba, która ją zastąpiła. Leżała nieruchomo, nie mogąc choćby unieść brwi, wygiąć kącika ust, zgiąć ręki, czy odrobinę przesunąć kolana, które niewygodnie opierało się o metalowy uchwyt na boku łóżka. Nie potrafiła wydać z siebie żadnego dźwięku, słyszała tylko równomierny, jednostajny szum powietrza, wciąganego i wypuszczanego nosem, mieszającego się z podawanym niewielką rurką tlenem. Po chwili odniosła wrażenie, że zaczyna systematycznie, powoli wracać do świadomej rzeczywistości, do świata słów, muzyki i ledwo rozpoczętej, leżącej w domu na stoliczku nocnym książki: „*La recherche de temps perdu*”¹, Marcela Prousta. Nawet spróbowała się uśmiechnąć na tę okazję, ale twarz odmówiła Jej posłuszeństwa. I wtedy zdała sobie sprawę, że jest w jakimś zawieszeniu – między realnym, rzeczywistym światem Jej świadomości, a jakimś innym, obecnym – niby Jej, a powykręcany i pokrzyżowany jak szable na odznace 77 Kowieńskiego Pułku Piechoty, masywnym i ciężkim jak jego odznaka, niedźwiedz, noszony na naramiennikach, którego to widziała na idealnie odprasowanym mundurze Pawła, gdy wchodził do sekretariatu dowódcy pułku, zameldować...

¹ (franc.) Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*.

Życiowa konieczność

- Taak... To mówicie chorąży, że chcecie się znów ożenić.
- Tak jest, panie pułkowniku! – Wyciągnięty jak struna, w galowym mundurze, łysy, ogolony tak, że skóra błyszczała, nie pierwszej młodości mężczyzna z okrągłą twarzą i nieco przypominającymi tatarskie oczyma, trzymał wzrok nieruchomo skierowany na godło: orła w koronie, który akurat w tej impresji przypominał jakąś mocno poharataną wronę, i na pytania odpowiadał tylko zdawkowo: „Tak jest, panie pułkowniku” lub „Nie, panie pułkowniku”.

Paweł wiedział, że zaprawiony w bojach Franciszek Alter – z pierwszym stycznia 1927 roku świeżo upieczony pułkownik ze starszeństwem i dziewiętnastą lokatą w korpusie oficerów piechoty, o którym mówiło się, że czeka go z całą pewnością awans generalski – nie znosił gryziپیórków w armii, miał o nich bardzo złe zdanie i jak mógł, uprzykrzał im życie. Bezpieczniej więc było, będąc kierownikiem kancelarii w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Lidzie, nie wdawać się w żadne słowne przepychanki, bo to mogło skończyć się utratą miesięcznika, zatrzymaniem urlopu – a Anna i dziewczynki muszą już wyjechać na wieś – lub, co najgorsze, ale i często przez Starego stosowane: zakazem opuszczania miejsca zakwaterowania, co oznaczało osadzenie w koszarach w Lidzie.

Paweł jeszcze nigdy nie miał do czynienia z głównym dowódcą – gdyż ten nie zniżał się do rozmów z trochę tylko więcej niż podoficerami. Koledzy ostrzegali:

- Paweł, ostrożnie, Stary jest nieobliczalny jak szwoleżer. Nawet nie wiesz, kiedy machnie szablą!

Stał więc i spokojnie słuchał, co do niego mówi. Pułkownik w pewnym momencie odłożył wieczne pióro Waterman ze złotą stalówką i grawerunkiem na obsadce, i podniósłszy wzrok, wbił go w niebieskie, stanowcze oczy chorążego. Ten spokojnie wytrzymał, nie bał się, bo nie bał się w zasadzie niczego. Szlak bojowy, jaki przeszedł, tak go zahartował, że zawsze patrzył niebezpieczeństwu prosto w twarz.

Alter znał jego życiorys. To nie był jakiś tam sobie chorąży, gryziپیorek, który całe swoje wojskowe życie spędził wypisując w rubryki dozwolone przez wyższe dowództwo słowa. Nie. To był żołnierz z krwi i kości, który do wojska trafił przypadkiem. W 1914 roku, gdy miał dwadzieścia dwa lata i zaczynał już samodzielnie prowadzić gospodarstwo, które ojciec, Ignacy, wzięty kowal w Nowogródku, kupił, bo jak mawiał: „Kowalstwo to dobry fach, zbożny, potrzebny, konie podków wymagają, a ludzie wozów, pługów, bron, ale ziemia to jednak ziemia, żywicielka, pramatka, dobrze traktowana zawsze odda, nie to co ludzie”, wcielono go siłą do ruskiej armii, gdzie walczył przez trzy lata w tej straszliwej wojnie. Trzy długie lata spędził w okopach, pod ostrzałem, pod granatami, pod gazami bojowymi, tracąc wszystkich przyjaciół, ucząc nowego rekruta jak przeżyć w polu, walcząc zupełnie bez przekonania, za *bat'ku cara i matiuszku Rassiju*¹. W 1917 roku, po wybuchu rewolucji bolszewickiej, skorzystał z okazji i uciekł do formującego się I Korpusu Polskiego generała Józefa Dowbor-Muśnickiego, któremu trochę spadł z nieba. Był zahartowany w boju, doskonale znał żołnierskie rzemiosło, więc po krótkim szkoleniu został dowódcą plutonu łączności i walczył przez rok, zdobywając Bobrujsk i Mińsk Litewski. Po rozformowaniu Korpusu, w poszukiwaniu innego oddziału, ruszył na Kaukaz, ale pod Smoleńskiem został złapany przez bolszewików i wtrącony do więzienia. Podstępem udało mu

¹ (ros.) Wujaszka cara i matczkę Rosję.

się uciec. Z przygodnie poznanym żołnierzem uspili czujność strażników i podczas zamieszania, gdy bolszewicy musieli na chwilę się wycofać, wykradli im klucze, otworzyli celę i spokojnie wyszli, nieindagowani i niezatrzymywani przez nikogo. Bolszewicy ratowali wtedy wyłącznie siebie, nie w głowie im byli głodni, wycieńczeni dezynтеріą więźniowie, z klejącymi się do tyłków spodniami. Kilka kilometrów za Smoleńskiem rozstali się. On ruszył do Polski, wrócił w swoje strony, pod Nowogródek, *do tych pagórków leśnych i tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem...* Było to trochę w innym miejscu, ale bolało i wzywało tak samo. Tam zaciągnął się w kwietniu 1919 roku do polskiego wojska, Kowieńskiego 77 Pułku Piechoty pod dowództwem generała Leona Łady-Zawistowskiego, już jako kapral. I tak z pomocnika kowala, absolwenta czteroklasowej szkoły miejskiej w Nowogródku i rolnika, przeistoczył się w zawodowego żołnierza, co mu zresztą bardzo odpowiadało. Jako dowódca plutonu zwiadu uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, później w 1920 i 1921 dzielnie walczył o wyzwolenie Wilna. Wykazał się odwagą i sprytem, dwukrotnie pojmując dziesięciu jeńców, za co najpierw podniesiono go do stopnia sierżanta, a następnie chorążego.

Wilno, po ciężkich, zażartych walkach zostało odbite Litwinom i przywrócone prawowitym właścicielom, Polakom, ale ich, bohaterów tamtych czasów, z zacięciem i z pełnym poświęceniem walczących o przywrócenie go Polsce, nazywano buntownikami. Alter rozumiał Sienkiewicza: gdyby ktoś próbował metodami brudnej gry politycznej oddać jego ukochany Lwów Ukraińcom – miasto, gdzie ponad osiemdziesiąt procent ludności to Polacy, miasto bardziej polskie niż Kraków – to on też nie zastanawiałby się nawet chwili. Rzuciłby wszystko, by walczyć o jego odzyskanie. Tamci ludzie to nie byli buntownicy. Skrzywdzono ich tym określeniem. Stawili się na wezwanie Piłsudskiego, bo Polska dość oddała wszystkim dookoła – Gdańsk, większość Pomorza, Zaolzie – bo ktoś tam wytyczył sztuczne granice, niemające nic wspólnego z prawdziwymi, pradawnymi, polskimi. Czasem trzeba działać metodą faktów dokonanych i Piłsudski, za którym Alter – jako przybyły do Polski z drugiego kierunku, nie jako Legionista – specjalnie nie przepadał, tu akurat bardzo mu się podobał. Ta cała mistyfikacja z powstaniem

w Wilnie, to wejście nieoficjalnej grupy bojowej, silnej, zdeterminowanej, otrzaskanej w bojach, przywróciło, przynajmniej tutaj, jakiś naturalny, prawdziwy porządek i elementarną sprawiedliwość dziejową. I Alter doskonale wiedział, że Sienkiewicz, mający za sobą tę chwalebłą drogę powrotu do Polski, nauczył się polegania wyłącznie na sobie, na własnych umiejętnościach i od pierwszego dnia, gdy jako dorosłego już, w pełni ukształtowanego mężczyznę wcielono go siłą do wojska, pomimo nie najlepszych warunków fizycznych i słabego zdrowia, radził sobie rewelacyjnie. Był modelowym żołnierzem, wzorowym dowódcą, jednym z najlepszych absolwentów Centralnej Szkoły Podoficerów Zawodowych Piechoty nr 1 w Chełmnie, rocznika 1923. Pułkownik wiedział o jego odwadze i o zasługach bojowych, ale wiedział również, że jest niesubordynowany, dyskutuje z przełożonymi, podważa rozkazy, dlatego – wiedząc też o jego poważnych problemach zdrowotnych, o uszkodzonych wieloletnim wojowaniem płucach – jego poprzednik podjął decyzję o przeniesieniu go do Rejonowego Sądu Wojskowego w Lidzie na stanowisko kierownika sekretariatu. Trochę już czasu minęło, opadły emocje, szkoda było tak dobrego żołnierza w kanczarskiej kanczarskiej. Przygotowany był już rozkaz o skierowaniu go na wyższy kurs oficerski, bo ciągle brakowało kadry dowódczej, a ta z doświadczeniem bojowym była na wagę złota, a tu taka informacja.

Alter wiedział, że nie można kierować na kurs oficerski chorążych o nieuregulowanym statusie rodzinnym. Paweł Sienkiewicz był wdowcem, sam wychowywał dwie córki, czyli status miał uregulowany, prośba o ponowne małżeństwo zmieniała ten stan całkowicie. Wyrażenie zgody wiązało się z przeniesieniem go do stanu nieuregulowanego i fiaskiem planów, że prawdziwy, z krwi i kości żołnierz, odpowiedzialny, prawdziwy dowódca, nie te cholerne maminsynki z Warszawy, synkowie generałów i pułkowników od siedmiu boleści, co przyjeżdżali tu tylko odrobić obowiązkowe pół roku i natychmiast pisali raport o przeniesieniu do stolicy, poparte zawsze stosowną adnotacją kogoś bardzo ważnego ze Sztabu Głównego lub z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, gwarantującego zabezpieczenie stosownego etatu że ktoś inny, niż te picusie w wypolerowanych na błysk cholewach, pijący jak Wieniawa-Długoszowski, posuwający baby jak Sławoj-Składkowski, obejmie dowództwo

trzeciej kompanii, obecnie w stanie rozkładu i degrengolady moralnej, po kilku takich warszawskich eksperymentach.

Na ich barkach spoczywało bezpieczeństwo kraju. Trudnego w zarządzaniu kraju, bo reaktywowanego po stu dwudziestu trzech latach niewoli, zaborów, poskładanego z kilku całkowicie kulturowo odrębnych struktur: z zaboru pruskiego, austriackiego, rosyjskiego i z Księstwa Warszawskiego. W każdym z nich ludzie inaczej mówili, myśleli, zachowywali się, mieli inne systemy wartości, często krańcowo, skrajnie różne. Kierowany do pułku rekrut wywodził się najczęściej z zaboru rosyjskiego, z kresów, ale przecież znaczną ich liczbę otrzymał z Małopolski, ze Śląska, cały pluton uformował z rekruta z okolic Poznania. Jak w tym tyglu mieszać, żeby otrzymać jednolity stop, twardy i dźwięcznie brzmiący?

Paweł Sienkiewicz miał ten dar, że gdy dowodził plutonami, umiał łączyć ze sobą młodych chłopców, umiał ich słuchać. Jak wieść niosła – oni zwracali się do niego z prośbą o rozstrzygnięcie sporów i nigdy żaden z nich nie podważył jego wyroku. I jakoś potrafił z nich wycisnąć ostatnie poty; każdy pluton, którym dowodził, przodował w poziomie wyszkolenia, wychowania patriotycznego, a nawet w nauce czytania i pisania, bowiem najczęściej młodzi ludzie, wcieleni do wojska jako zwykli żołnierze, byli analfabetami. Czy to na strzelnicy, czy to w polu, czy to na torze przeszkód, czy to w czasie pogadanek na tematy polskie, czy to na mszach, tak pięknie koncelebrowanych przez kapelana, czy na lekcjach w szkole, prowadzonych przez taką młodą nauczycielkę (Anna, zdaje się, miała na imię), żołnierz z plutonu Pawła Sienkiewicza zawsze był nienagannie ubrany, oporzędzony i zawsze notował wyniki znacznie przekraczające średnią, a często, szczególnie na strzelnicy, zbierał pierwsze lokaty. I teraz ten człowiek, po którym widział, że się go nie wystraszy, przychodzi i mówi, że chce się żenić.

Zapadła cisza. Przez chwilę mocowali się spojrzeniami: pułkownik próbował go zgasić, co zakończyło się fiaskiem. Paweł Sienkiewicz stał jak struna, wyprężony i nienagannie odprasowany, z czapką przepisowo trzymaną między lewą ręką a lewym biodrem, spokojnie czekał na werdykt. On już wiedział, co robi. W odróżnieniu od pułkownika, który ciągle bił się z myślami.

- Panie chorąży – zaczął powoli, z namysłem, ale niezbyt wolno i rozwlekle, żeby ten nie pomyślał sobie, że jego dowódca jest słaby i rozlazły – czy decyzja o ożenku jest ostateczna i nieodwołalna?
- Tak jest, panie pułkowniku! – wyrecytował jak z automatu.
- Szkoda! – powiedział pułkownik.
- Tak jest, panie pułkowniku! – wypalił natychmiast Paweł Sienkiewicz.
- Nie rozumiecie, chorąży. Wczoraj podpisałem rozkaz o skierowaniu was na wyższy kurs oficerski dla chorążych, jednocześnie przenosząc was na stanowisko dowódcy trzeciej kompanii piechoty i zmieniając wam stosownie do stanowiska wynagrodzenie i przydział kwatery wojskowej.

W oczach Sienkiewicza pojawił się błysk. Jak grom z nieba spadło na niego uczucie, że nareszcie przełożony dostrzegł w nim dobrego żołnierza i dał mu szansę się wykazać. Na najtrudniejszym odcinku, to prawda, ale każdy, kto chce udowodnić, że jest dobry, musi zaczynać od prac najcięższych. Tam musi pokazać, że da sobie radę, bo jeśli tam sobie poradzi – to już wszędzie. Obecne obowiązki wykonywał ze starannością. Protokoły rozpraw były jasne, czytelne, zwięzłe i zawsze oddawały sedno rozprawy i precyzję wyroku. Przewodniczący sądu nie mógł się Sienkiewicza nachwalić, ale obaj z dowódcą wiedzieli, że miejsce Sienkiewicza jest wśród żołnierzy, w przygotowaniu narybku do walki w teatrze działań wojennych, który przewidywali, że będzie się rozciągał od Bałtyku po Morze Czarne i od Uralu po Gibraltar. Ten błysk z jego oczu nie uciekał, robił się coraz jaśniejszy...

- Tak jest, panie pułkowniku – powiedział, starając się zachować całkowicie służbowy ton.
- No właśnie nie jest, Sienkiewicz, nie jest! Nie możecie być stanu nieustalonego w czasie odbywania przeszkolenia na wyższym kursie oficerskim. Teraz jesteście wdowcem?
- Tak jest, panie pułkowniku.
- No właśnie, jeśli dziś wyrażę zgodę na wasz ślub, wasze papiery

oficerskie będę mógł wyrzucić do kosza. Bo albo dziś, albo nigdy, trzecia kompania wymaga natychmiastowego działania. No to jak, chorąży?

- A gdyby ja tak wystąpił do pana pułkownika z wnioskiem o zawarcie związku małżeńskiego jutro, a?
- Umiecie mówić coś więcej niż: „Tak jest!”? To dobrze. Nie, Sienkiewicz, wasz raport o zawarcie związku małżeńskiego jest zgłoszony, ma daty. Każda kontrola wyrzuci was z kursu a mnie ze stanowiska.
- Tak jest, panie pułkowniku.
- Czyli jaka jest wasza decyzja, Sienkiewicz?
- Proszu o wyrażenie zgody na małżeństwo! – Stojąc w pozycji na baczność wyrzucił z siebie słowa, w których nie było cienia wątpliwości.
- To przynajmniej tu mamy jasność. Wiecie, że przed wyrażeniem zgody dowódca musi poznać kandydatkę na małżonkę.
- Tak jest, panie pułkowniku, Anna żdut w kantorze.

Pułkownik nacisnął na przycisk wystający z biurka. Do gabinetu wszedł młody porucznik w paradnym mundurze i z koalicijką.

- Proszę wprowadzić panią kandydatkę – rzucił sucho Alter, obracając w palcach nóż do papieru.
- Tak jest, panie pułkowniku! – powiedział ów młokos i zdziwiony popatrzył na Pawła Sienkiewicza. – Już wprowadzam! – Raz jeszcze posłał w jego kierunku zdziwione spojrzenie, ale tamtemu nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy.
- To pani! – wydusił mimochodem po francusku pułkownik na widok wchodzącej kobiety i wstał zza biurka. Dobry znak, spodobała mu się. Nie mogła się nie spodobać: spokojnej urody, wysoka, postawna, dobrze i ze smakiem ubrana, z koroną warkoczy na czubku głowy, uplecionych z ciemnych, gęstych włosów, delikatnie podmalowana, z niewielką torebką w rękę, doskonale uzupełniającą całość sylwetki. Nie była pięknoszką, ale była tego typu kobietą, na widok której każdy mężczyzna

wstanie, zaprosi do swojego stołu i po kilku minutach oczarowany nią, nie wypuści ze swojego towarzystwa. Kobieta delikatnie uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, panie pułkowniku – powiedziała wyborną francuszczyzną z lekkim akcentem z Lyonu – piękny mamy dziś dzień.
- Ano piękny. – Pułkownik z dziecinną łatwością pozostał we francuskim, nie bacząc, czy chorąży będzie rozumiał czy nie, po czym dodał: – W sam raz na małżeńskie plany.
- Paweł już panu powiedział?
- Nie byłoby pani tutaj!
- A może chciałabym coś u pana załatwić, na przykład jakieś dodatkowe lekcje?
- Całkiem możliwe, niewykluczone – przez chwilę zbierał myśli, trochę zaskoczony jej błyskotliwą odpowiedzią. – Czyli chcecie się pobrać? – rzucił już spokojnie, z lekką wyższością w głosie.
- Tak, chcemy – kobieta wydawała się nie zauważyć tego tonu. – Córki Pawła mają tylko po kilka lat, wymagają matczynej opieki, a i on sam też wymaga, by się ktoś wreszcie nim zajął. To bardzo dobry człowiek, panie pułkowniku, dba o wszystkich, tylko nie o siebie...
- Anno, nie przesadzaj, proszę – powiedział Paweł z mocnym niemieckim akcentem. – W wojsku dostaje się rozkaz i rozkaz się gotuje...
- Nie gotuje, a wykonuje, Pawełku – poprawiła go cichutko i dyskretnie. – Jak tedy będzie, panie pułkowniku?
- Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań, *excusez-moi, madame!*
- Ależ proszę bardzo!

Przez następnych kilka minut trwała między nimi ożywiona rozmowa, bo przecież nie ograniczył się do czterech zdawkowych pytań. Ta niesłychanie inteligentna kobieta miała w sobie ogromny dar podtrzymywania rozmowy i czynienia z niej czegoś absolutnie frapującego, czegoś od czego nie można się oderwać. Po chwili

wezwał adiutanta, coś mu szybko podyktował ściszym głosem, tamten strzelił obcasami z głośnym: „Tak jest!” i wyszedł. Wrócił po kilkunastu minutach z wypełnionym formularzem. Pułkownik rzucił okiem na zapisane rubryki, wszystko było tak, jak należy. Złożył podpis i wstał, dając sygnał, że rozmowa jest skończona. Anna podniosła się równie lekko, jak usiadła, podała mu rękę, którą on z wyraźną przyjemnością ucałował, po czym odprowadził ją do drzwi, prosząc po drodze, żeby chwilę jeszcze została w kantorze.

- Sienkiewicz – powiedział, gdy zamknęły się drzwi – rozumiem waszą decyzję, choć mi się ona nie podoba. Oczywiście, macie zgodę na małżeństwo, dostaniecie również przydział na większe mieszkanie. W bloku oficerskim, Sienkiewicz, zawdzięczacie to waszej przyszłej małżonce. Odmaszerować!
- Tak jest, panie pułkowniku! Bardzo dziękuję, panie pułkowniku!
- Oczywiście – rzucił to niedbale i nacisnął guzik. – Adiutant, co dalej w dniu dzisiejszym?
- No i jak – zagadnęła, gdy starannie zamykał za sobą drzwi – zgodził się?
- Tak, zgodził.
- Cieszę się, wiesz? Skończy się nasza poniewierka.
- Tak, Anna, akończytsa. Dostaniemy większu kwateru, no mieszkanko w oficerskim bloku.
- Niemożliwe!
- To prawda. Będziemy jedyni rodzinu chorążych w bloku z oficerami. Anna, nareszcie. Przecież Aldonka i Helusia muszą mieć swoje pokoje, i my musimy mieć sypialni, nawet malutku, pokój stołowy... I Haponiukowa musi mieć gdzie żyć.
- I nasze dzieci...
- I nasze dzieciśka!
- Ja zrezygnował dziś z wyższego kursu oficerskiego! – rzekł po chwili, ale ona miała wrażenie, że nie chciał jej tego mówić. Że, mimo iż umówili się, że będą sobie mówić wszystko, dobre i złe

rzeczy, ten akurat passus chciał pominąć. I natychmiast odniosła wrażenie, że żałuje...

- Jak to? – spytała zdziwiona, z niekłamany m zdumieniem.
- Ja musiał wybierać: albo ty, albo kurs.
- Ale czemu? – Zatrzymała się w pół kroku, ale natychmiast się opanowała, znów wzięła go delikatnie pod ramię i ruszyli dalej.
- Oni nazywajut to pragmatyka, mileńka. Uczestnik kursu musi mieć uporządkowan u życia rodzinnu: kawaler, żonaty, rozwiedziony lub wdowiec. Nie może t' być w trakcie ślubu.
- No to nic, w przyszłym roku...
- To jest ostatni rok naboru dla chorążych, zresztą nasz pułk dostawał przydział na miejsce raz na kilka lat. Nic już z tego nie budżet.
- Zależało ci, żeby zostać oficerem? – zapytała go, gdy wychodzili z budynku dowództwa, kierując się do bloku numer pięć, gdzie – jak mu przekazał adiutant w kantorze – miał dostać przydział na oficerskie mieszkanie na pierwszym piętrze. Podobno można je było obejrzeć, gdyż trwał remont, a wykonujący go żołnierze kompanii obsługi akurat mieli regulaminową przerwę na drugie śniadanie.
- I tak, i nie. Wiesz, ten chorąży to taki ni to pies, ni wydra. Lepiej w sumie być sierżantem lub podporucznikiem. Ale z drugiej strony, jeśli miałbym wybierać... Przecież nie bud u w wojsku całe życie, w końcu trzeba myśleć o naszym kąciku na resztu lat.

Dłoń z długimi palcami o kształtnych paznokciach, obecnie w skórzanej rękawicze, wsunięta pod jego zgięcie w łokciu delikatnie go ścisnęła.

- Nie będziesz żałował, Paweł. Obiecuję.
- Znaj u, Anna! Gdyby ja w to nie wierzył święcie, inaczej by dziś rozmawiał z pułkownikiem.

Nad koszarami świeciło czerwcowe słońce. Równe rzędy bloków ustawione szczytami w kierunku północ – południe robiły schludne i porządne wrażenie. Wygrabione i posypane czystym

piaskiem alejki, klomby z feerią barw kwitnących kwiatów, wielka figura orła, wyłożona z kawałków potłuczonych talerzy z koroną z błyszczącego, wyglansowanego mosiądzu, zamykała od dołu maszt z wciągniętą flagą Polski. Szerokimi ulicami przemierzały się pododdziały wojsk, na wybetonowanym placu rekruci trenowali krok defiladowy, zwartymi grupkami szli podoficerowie i oficerowie, zmierzający na przedpołudniowe zajęcia. Z niedalekiej stajni dochodziło wesołe rzenie i parskanie koni, wiejący stamtąd wiatr przyniósł ich słodki, ciężki zapach zmieszany z wonią zakonserwowanej skóry, z której wykonano siodła, uprzęże i lejce. Kilku żołnierzy rozebranych do połowy wносиło do stajni wiadra wody. Przez otwarte wrota było widać, jak inni, ubrani tylko w polowe spodnie, czyszczą i oporządzają wierzchowce, dyskretnie wsuwając swoim ulubieńcom w pyski wycygane od kucharzy marchewki. One kiwały głowami jakby w podzięcie, podstawiając pod szczotki i zgrzebła najpierw jeden, później drugi bok, a co inteligentniejsze, po zakończonej toalecie ciała, podkładały kopyta z niemą prośbą:

- A może byś mi też buty oczyścił? – Jednocześnie skubiąc delikatnie okryte potem plecy.

Paweł z Anną spokojnym krokiem, nawet niezaczepteni przez wyprężonego w postawie na baczność wartownika na bramie, doszli do budynku numer pięć, który stał na zewnątrz koszar zaraz za zespołem stajni. Lewa klatka schodowa wyraźnie zwiastowała remont, była obsypana wapnem i cementem. Niewielkie okienka na drzwiach wejściowych ze szkła kryształowego były brudne, przyproszone kurzem, rzecz niesłychana w koszarach. Anna musiała nieco kluczyć między walającymi się na klatce kawałkami cegieł, kafłami piecowymi, fragmentami rur, by wejść na pierwsze piętro i uchylić na wpół przymknięte, zasypane ceglany pyłem i zasmużone pasmami wapna drzwi z dumnie pyszniącą się, wymalowaną smoliście czarną farbą liczbą dwanaście. Mieszkanie było piękne – cztery pokoje plus salon, duża widna łazienka, kuchnia ze spiżarnią, balkon, wejście dla dostawców. Patrzyła, nie dowierzając.

- To dla nas, Pawełku?
- Tak twierdzi dowódca. Ej, żołnierzu, dla kogo będzie to mieszkanie, a? – zagał niosącego kawał rury do piecyka młodego

chłopaka, któremu nawet jeszcze nie zdążył się dobrze wąs pod nosem puścić.

- A bo ja tam wiem – powiedział, ale szybko się zsumitował. Odłożył rurę, stanął w postawie zasadniczej i dodał: – panie chorąży!
- Kto będzie wiedział, a?
- Pan sierżant Stolarski, panie chorąży!
- Odmaszerować, żołnierzu! – rzucił jeszcze i krzyknął: – sierżant Stolarski do mnie!

Po chwili, dociągając pas, pojawił się jowialny sierżant z wielkim brzuchem, sapiąc i dysząc.

- Zwariowałeś, Paweł, nie znasz lepszych żartów? Na stare lata mam biegać, jak zając?
- Komu rychtujesz to mieszkanko, a?
- Do wczoraj była wersja, że nowemu dowódcy trzeciej kompanii. Dziś Stary zmienił ponoć decyzję i dostanie je jakiś chorąży. Nie wiesz, o co chodzi?
- Znaju. Ja!
- A to gratuluję, panie chorąży!
- Ta, przestań – wyraźnie wyczuł sarkazm. – Zbyt dużo razem my przeszli.
- Ta... Ja wiem, jak to jest! Przeprowadza się potem taki chorąży z bloku podoficerskiego do oficerskiego i ma w dupie... O, przepraszam, pani Anno, to takie wojskowe określenie – kolegów, z którymi tyle przeszedł! On awansował...
- Ty nie znajesz mnie? Ty mnie tu widzisz pierwszy raz, a?
- Znam. Zbyt dobrze znam. I dlatego się boję, że stracę kolejnego, starego kumpla.
- Ciepucha! Nie stracisz.
- Już ja wiem swoje, Paweł, przepraszam, panie chorąży. Chodzą pogłoski, że idziesz na wyższy kurs oficerski i obejmiesz trzecią

kompanię. A wtedy już zupełnie się od nas odsuniesz.

- Nie idu na kurs.
- Czyli to nieprawda, że stary chciał cię skierować?
- A to akurat prawda.
- To ja czegoś nie rozumiem. Stary kieruje cię na kurs, a ty?
- Nie idu.
- Ty z drabinki w kantorze na łeb spadł i głową o ziemię prasł?
- Też nie. Nie włąził nawet na drabinku.
- Nie chcesz mówić, nie mów.
- Powiem. U nie było do wyboru: małżeństwo z Annu lub kurs.
- Jak?
- Ano tak, ty wojska nie znajesz?
- Ty wybrał Annę.
- Tak. Ja wybrał.
- Ja się cieszę. I dlatego, że może nie stracę kumpla i dlatego, że wybrałaś panią Annę.
- Nu dobrze, kiedy ukończycie remont, a?
- Za jakies dwa, trzy tygodnie. Musi wejść jeszcze zdun, hydraulik, musimy założyć kanalizację, światło elektryczne. Będziecie mieli jak w pałacu.
- Ta dobrze, bo nasz ślub za miesiąc.
- Jak to? – Stolarski ze zdumienia zatrzymał się i wyciągniętą z kieszeni chustką przetarł mocno już spocone czoło.
- Za miesiąc, równo.
- Paweł, a co by było, gdyby Stary się nie zgodził?
- Ale się zgodził.
- Ale mógł się nie zgodzić!
- Wybrałby Annu.

- Odszedłbyś z wojska?
- Jeśliby musiał...
- Co byś robił?
- Należy mi się nadanie. Eta nie dobra czy zła wola starego, mi to należytsa. Ustawowo. Ja już ponad rok temu wystąpił do Urzędu Wojewódzkiego w Nowogrodzku z wnioskiem o wskazanie i takowe ja wczoraj wreszcie dostał.
- Wiesz przynajmniej, gdzie to jest?
- Nie znam. Ale jutro wezmu mapę sztabową, znajdę.
- Znasz nazwę tej wsi?

Od dłuższego już czasu szli w trójkę, Anna w środku, trzymała ich obu pod ramiona, oni dostosowali krok do możliwości jej wąskiej spódnicy i szpilek, efektownych, ale utrudniających chodzenie po terenie koszar.

Stolarski był przez dłuższy czas jedynym, który pomagał Pawłowi po śmierci pierwszej żony, Wiktorii. Inni bali się, bo Paweł zadarł wtedy z dowódcą, nie chcąc wykonać bzdurnego, w jego mniemaniu, rozkazu. Uratowało go wtedy to, że generał Łada-Zawistowski go znał i cenił, więc zadzwonił i mocno wstawił się za nim słowami:

- Chorąży Sienkiewicz, panie pułkowniku, to jedna z najpiękniejszych kart naszej walki o niepodległość. Świetny dowódca i odważny żołnierz. Piękną drogę przeszedł z Korpusem, za tę niesubordynację mu się medal należy, a nie pana raport o usunięciu go ze służby. Proszę więc pana, żeby wycofał pan ten raport. W imieniu Polski Niepodległej bardzo serdecznie pana proszę!

Dowódca ponoć zbladł wiedząc, że Łada-Zawistowski jest w znakomitych relacjach z Wieniawą-Długoszowskim, a to już było ucho i oko Komendanta Piłsudskiego. Wrócił, nakazał usunięcie z dokumentów osobowych informacji o zajściu, po czym w ciągu kilkunastu dni został przeniesiony do Ministerstwa Wojny, do Departamentu Uzbrojenia. Na jego miejsce przyszedł obecny szef, który przede wszystkim cenił żołnierzy frontowych, tych z doświadczeniem, tych, co wążali proch. Sprawa Pawła Sienkiewicza

powoli przyschła, ale on sam boleśnie odczuł, że nie ma tutaj przyjaciół, prócz grubasa Stolarskiego, malkontenta i czarnowidza. Bliżsi i dalsi znajomi, przerażeni perspektywą, że będą musieli zająć stanowisko w sporze: Sienkiewicz – dowódca, natychmiast przestali go zauważać, zaczęli uciekać na drugą stronę ulicy. Jak ognia unikali kontaktów pozasłużbowych, a i te służbowe nagle zaczęły ograniczać się do kilku prostych komend, wydawanych zimnym, bezosobowym głosem. Teraz wysilił pamięć i rzekł:

- Chyba to jest, nu tak, nie... Nu tak, to chyba jest... Koszalewo!
- Koszelewo?
- Jakoś tak...
- To się dobrze składa. Wiem, gdzie to jest. Więcej, tam niedaleko, w Marulinach, mieszka moja ciotunia, staruszcza, przedstawię cię jej.
- Dobra, Ziutek, później, najpierw muszu być pewien, że to tam.
- Paweł, to pewnie i tam będzie. Najlepsze kawałki, przyjacielu, już dawno zostały zasiedlone, teraz rozdają tylko to, co im pozostało i czego inni nie chcieli wziąć. Koszelewo... Tam mieszkają Żydy, Niemce, Białorusy, Litwiny, Polaków chyba nie ma, pewnie nikt się nie ostał.
- Czemu?
- Czemu? Wytrzymaj tam, gdzie nie gadają po polsku!
- Nie rozumiem!
- Zrozumiesz, jak pojedziesz! Zrozumiesz, jak staniesz sam przed kilkoma ludźmi, z których każdy mówi w innym języku. Jak rozmawiają, każdy uparcie po swojemu.
- Sąsiad z sąsiadem?
- Sąsiad z sąsiadem. Część z nich jest spokrewniona. Przez małżeństwa – dodał, widząc jego zdziwiony wzrok. – To nie pomaga: małżonkowie jakoś się dogadują, reszta ani myśli. Wrogość i niechęć. Nie bierz tego, Paweł. Podpałą, zabiją...
- Ale ja już podpisał. Nie budu po próznicy piórem machać.

- Możesz oddać.
- Ziutek, ty z kobyły na łeb upadł? A co ja mogu innego w życiu robić? Cztery klasy szkoły w Nowogródku zrobił. I kursy rolnicze. Nawet już zaczął gospodarzyć na ojcowiznie. Nu, ojciec tu ziemię kupił, pod Nowogródkiem, to mnie ruskie w armii wzięli. Całe życie albo wojował, albo szkolił rekruta, albo pisał w kantorze. Przed wojskiem ja skończył kursy rolnicze – powtórzył to z niezrozumiałą dla Stolarskiego dumą – trochu gospodarzył. Trzeba mieć coś na trudne czasy, a te idą, Ziutek, idą. Mówił mi znajomy ze Sztabu Generalnego, że budut rozformowywać jednostki, nie maju na ich utrzymanie, kryzys i do nas za chwilę zawita.
- A co to takiego ten kryzys?
- Ludzie tracą pracę, nie mają z czego wyżywić rodzin...
- Myślisz, że nas też obejmie?
- Obejmi, Józek, obejmi, dlatego nie wahał się ja, wziął to Koszelewo, tak Koszelewo. I nie oddam. Wydrę z tej ziemi tyle, że na rodzinę nam wystarczy, Józek, w razie by co, w razie by mieli...
- Wiesz, Józek – odezwała się milcząca od dłuższego czasu Anna – ja jestem z Wilna, z dobrej, mieszczańskiej rodziny. Wychowałam się na pensji, na której nauczyłam się tysiąca niepotrzebnych umiejętności, ot choćby jak składać serwetkę do cygara, a jak do fajki. Ale nikt nie nauczył mnie, jak sobie radzić, gdy nie ma ani grosza na chleb, gdzie się udać, z kim rozmawiać, jak zarobić, u kogo, na czym? Na pensji wszyscy wmawiali nam, że my, panienki z dobrych domów, jesteśmy stworzone do życia w luksusie i że o tak przyziemne sprawy, jak środki do życia, martwi się mąż. Jesteśmy z Pawłem od pół roku, od sześciu miesięcy uczestniczę w wychowaniu jego dziewczynek, zamkniętej i skrytej Aldonki i szaląputa Helusi. I wiesz, patrząc na nich, będąc z nimi, zrozumiałam, że to nie na tym życie polega, że ja leżę i pachnę, a mąż biega koło mnie i ściera mi spod stóp każdy pyłek. Nie. Musimy razem pracować, dzielić się pracą, to prawda, ale każde musi mieć

swoje obowiązki. I dlatego poparłam Pawła jak w Urzędzie Wojewódzkim w Nowogrodku, dokąd pojechaliśmy razem, podpisał dokumenty, w których potwierdzał zainteresowanie tym majątkiem, więc urząd nikomu więcej na razie już nie będzie proponował. Też mi majątek: 56 hektarów ziemi, 15 hektarów łąk i 10 hektarów lasu². Podłej ziemi, w większości piaski. Na normalne życie wystarczy, na coś więcej już nie. Podobno będziemy mogli, po trzech latach nienagannego gospodarzenia dobrać drugie tyle, ale to już wszystko. Ustaliliśmy, że po ślubie zamieszkamy tu, w koszarach, póki dziewczynki są małe, dwa, trzy lata, później przeniesiemy się do Koszelewa. Nieodwołalnie. W tym czasie, gdy Paweł będzie nadal kancelistą, będzie protokołował rozprawy i będzie miał pensję, ja będę tam regularnie co tydzień dojeżdżać i będę spędzać całe wakacje, biorąc oczywiście ze sobą dziewczynki, niech się przyzwyczajają, starając się doglądać co się tam dzieje. Zamieszka z nami moja siostra, Elżbieta, po Uniwersytecie Rolniczym we Lwowie, która po śmierci męża nie może sobie znaleźć miejsca w życiu. Ona pomoże mi na początku w uprawie. Pawłowi zostały trzy lata do emerytury, najniższej, wojskowej... Każdy teraz zarobiony grosz wpakujemy w Koszelewo. Później, te sto złotych jego emerytury jakoś nam na najskromniejsze potrzeby wystarczy, da nam niewielkie poczucie, że nie zginiemy, w razie by co. Józek, czego innego mogą się spodziewać trzydziestoletnia kobieta, niezamężna jeszcze i trzydziestosiedmioletni mężczyzna, z dwójką malutkich dzieci? Dostaniemy od życia jeszcze coś? Nie, Józku, ja dziękuję Bogu i za tę szansę. My musimy ją wykorzystać i wykorzystamy. Z pomocą Pana Boga wszystko się uda, byle tylko siły dał, byle tylko zdrowie dopisało, bylebyśmy tylko byli razem. Byle tylko czasem przyjaciele sobie o nas przypomnieli. – Anna uśmiechnęła się do niego, a on tylko pokiwał smutno głową...

[***]

*Co się dzieje? Jakie nadanie? Jakie przenosiny do Koszelewa?
Matko Boska Ostrobramska, o czym ja myślę, co mi po głowie*

² Ustawa z 1920 roku o nadaniach ograniczała wielkość przekazywanego majątku do 45-u hektarów.

chodzi? Przecież myśmy na krok się z Lidy nie ruszali. Owszem, gdzieś w 1938 roku... Tak, chyba w 1938, Paweł wystąpił o możliwość zakupu ziemi, tej właśnie z nadań, bo tyłu sobie nie poradziło, ale dostaliśmy odpowiedź odmowną. Nie wiem, może to i lepiej było, nie wiem... W Marulinach mieszkała moja ciocia Frania, nie... cioteczka Józia. Zresztą jaki Stolarski? Skąd tam? Nie było takiego sierżanta, Paweł nie miał praktycznie żadnych kolegów, a po śmierci Wiktorii został zupełnie sam. To przecież było na początku 1928 roku, gdy Helusia miała półtora roku, Wiktorcia umarła w połogu, umarło też ich dzieciątko, dziewczynka. Jezu Chryste Nazareński, czy mi się to wszystko wydaje, czy tak naprawdę było? Miesza mi się wszystko... Czemu? Nie, nie, nie wszystko! Rzeczywiście mieszkaliśmy w bloku numer pięć, pod dwunastym, ale Paweł tam mieszkał już wcześniej... Gdzie ja jestem? Czemu tu tak biało dookoła, to nie jest mój pokój...Pić... Pi...

[***]

Pociąg relacji Wilno – Równe, odjeżdżający z Lidy o 9.30, mający dojechać do Nowojelni o 10.42, tego dnia nieprzychylnie wolno włócił się po swojej żelaznej drodze. Za oknem często widzieli robotników torowych, którzy coś sypali, coś podnosili, coś przestawiali, przez co skład stawał i obliczoną na trochę ponad godzinę trasę z Lidy do Nowojelni, gdzie mieli przesiąść się na pociąg do Nowogródka, pokonał z opóźnieniem. Było dość ciepło. W dalekobieżnym wagonie, do którego do każdego z przedziałów prowadziły osobne drzwi, wychodzące bezpośrednio na peron, pootwierane były praktycznie wszystkie okna, ale stojące, ciepłe, gęste powietrze niechętnie wślaczało się do środka. Zresztą przy tej prędkości pociągu nie było nawet o tym mowy. Paweł ubrany w jasny garnitur z białą koszulą i krawatem, Anna w spódnicy do kostek, w butach na obcasie, w marynarce w pepitkę... Wyglądali na dwoje mieszkańców Wilna, którzy jadą na prowincję w jakimś celu: wesele, pogrzeb, może interesy? W czasie podróży niewiele rozmawiali. Skryty Paweł w ogóle mało mówił. Anna, która była jego przeciwieństwem, tym razem poddała się spokojnej atmosferze jazdy i też milczała, ale po raz kolejny próbowała raz jeszcze przeanalizować wszystkie za i przeciw podjętych decyzji.

Aldonka i Helusia są już samodzielne. Na szczęście jakoś nam się poukladało, dziewczynki mnie zaakceptowały, są posłuszne, nie sprawiają kłopotów, dobrze się uczą. Zosia jest jeszcze malutka; zajmuje się nią guwernantka, dzięki czemu ja mogę pracować. Pensja Pawła jest skromna, ale nie płacimy za mieszkanie, za węgiel, za prąd i wodę, daje się jakoś związać koniec z końcem. Tylko te ciągłe pogłoski o redukcjach w wojsku... nie wiem, znów się pojawiły. Nie można tak żyć. Nie można czekać na czyjąś łaskę. Dość już, dość – ściągnęła twarz, przez co jej oczy przypominały tatarskie – jakoś musimy sobie zacząć radzić. Na czymś musimy zbudować naszą przyszłość, w wojsku jej po prostu nie ma. Koszelewo może się uda, może nie, ale będzie to zależeć wyłącznie od nas samych. Paweł nie jest już młodzieńcem, ja też już mam trzydzieści jeden lat, zaczynać wszystko od początku w tym wieku, to już chyba trochę za późno, ale co robić? Wielki kryzys zniszczył tyle fabryk, dziś nie wiadomo w zasadzie, dokąd się udać. Może do Gdyni, może na Śląsk? Coś się przebąkuje o budowie jakiegoś okręgu, ale czy to się uda? Co może robić tam absolwentka pensji z czterema językami i zawodowy żołnierz, który całe życie albo wojował, albo szkolił rekruta, albo był pisarzem w sądzie? Do czego my moglibyśmy się tam nadawać? Nie, trzeba spróbować własnych sił. Trzeba samemu sobie pokazać, ile się jest wartym. To Koszelewo może być dla nas szansą. W każdym razie emerytura Pawła i nawet skromne zbiory z ziemi wystarczą nam na przeżycie. A pożyczki bankowe jakoś się spłaci, w sumie nie będzie tego tak dużo...

Po chwili pojawił się niepokój o to, co dzieje się w domu. Haponiukowa, która zajmowała się ich domem, prała, sprzątała, gotowała i opiekowała się dziewczynkami, gdy ona była w pracy, ale białoruska babina ostatnio przestała jej słuchać. Anna zauważyła, że Aldonka i Helusia zaczęły się mylić przy wykonywaniu znaku krzyża, odruchowo składały lewe dłonie w trzy palce i odwracał się im kierunek. Widziała w tym jej robotę, z całą pewnością mąciła dziewczynkom w głowach, wprowadzając w ich świat swój obrządek i swoje zwyczaje. Po zwróceniu jej uwagi na chwilę przestała, ale gdy Helusia któregoś dnia powiedziała, że „Christos woskliesien!”, Anna zaczęła się obawiać, że straci kontrolę nad córkami. Haponiukowa miała same zalety: była czysta, serdeczna, uczciwa, dbała o dom, dobrze gotowała, nie roznosiła plotek po koszarach

i kochała dziewczynki jak własne dzieci. Była cudem ocaloną sierotą, wydaną za mąż za porządnego człowieka, który zginął na wojnie w 1917 roku. Dzieci nie mieli, inni najbliżsi, wszyscy, zmarli na tyfus, który dwa lata po wojnie spustoszył jej rodzinną wieś. Tedy całą swoją miłość z wielkiego, obfitego ciała i dorodnych piersi przelała na jej córki, którym ciągle coś śpiewała, opowiadała, przekomarzała się z nimi, to i powoli nasiąkały jej charakterystyczną, wymieszaną polsko-ukraińsko-białoruską gwarą. Trzeba było coś zrobić, bo cholera wie, w którym kierunku to się potoczy.

- Śpisz Anno? – z zamyślenia wyrwał ją spokojny, zrównoważony baryton Pawła: – Nie śpij, mileńka, już, myślę, że dojeżdżamy.
- Nie, nie śpię. Myślę o domu.
- O Haponiukowej?
- Domyśliłeś się!
- Wydaje mi się, że się zbyttnio przejmujesz.
- Paweł, ona mąci dziewczynkom w głowach!
- Myślu sobie, Anno, że trochu nie masz racji.
- Jak to nie mam – zaperzyła się natychmiast. – Obca kobieta po swojemu, w swojej wierze wychowuje twoje córki...
- Anno, myślę, że cziepucha ci język płacze. Nie ubędzi ani trochu Aldonce czy Helusi, jak zobaczu, że jest inny świat wokół nich i inna religia.
- Paweł. – Anna nie dowierzała temu, co słyzy. Aż wstała z miejsca i silnie gestykułując, nachyliła się nad spokojnie siedzącym mężczyzną. – Twoje córki mogą zostać prawosławnymi!
- Mogut? A czemuż to, a?
- I wszystko do tego zmierza.
- Nie, nie zamiaruje.
- Ale Helusia i Aldonka...
- Anna, a co takiego się stało, a? Nasza Haponiukowa to opiekunka. Jest bardzo ważna, jakby ciotka nasza, ale to my jesteśmy rodzicami.

- Myślisz?
- Tak myślę. W Koszelewie budują Niemcy, Żydzi, Białorusini, Litwini, Polacy... Jak sobie wtedy poradzić, a? Jak wtedy nie rozplątać się w wielości, a zachować własne zwyczaje, kulturę i wiarę? Całkiem odciąć się od sąsiadów? Przecież wiesz, że my tak nie umiemy!
- No to jak?
- Zwyczajnie, być sobą i pozwolić sobie i dzieciakom nasiąknąć tym, co tam jest.
- Może... Ale żeby tylko dziewczynki nie wyrosły na jakieś bezbożne nie wiadomo co!
- Na kogo wyrosną, to się jeszcze okaże.
- Pawle, co ty opowiadasz! – Znowu zerwała się z siedzenia. – Mam wrażenie, że niezbyt wielką wagę przywiązujesz do religijnego wychowania córek. A co im w życiu zostanie, jak nie będą wierzyć? Na czym się oprą? Jaki będą mieć fundament moralny? Nie, tak nie można, musimy tu być zgodni...
- Musimy i nie musimy. Ja by chciał, by nasi córki przede wszystkim mądrymi były. W Koszelewie żyją katoliki, ewangeliki, prawosławni, grekokatoliki... I co, mamy dziewczynki zamknąć w domu, żeby nikt nie zakłócił im kanonów świętej wiary rzymsko-katolickiej?
- Nadal cię nie rozumiem! – Usiadła, bo pociąg zaczynał już zwalniać i bała się, że jak szarpnie to się przewróci. – Uważasz, że tamte wiary są równe naszej?
- Anna... – Paweł chwilę zbierał myśli, widać było, że dotknęła czegoś dlań ważnego. – W okopach, gdy strzelali z dział, było nam wszystko jedno, kto był kim, kto w co wierzył i w kogo wierzył. Dobrego żołnierza poznawało się natychmiast i wierzyć mi, wierzyć, nie było żadnego znaczenia, czy był to katolik, ewangelik czy starowierca.
- Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Pawle! – intensywnie szukała czegoś w niedużej, czarnej torebce, nie podnosząc

na niego oczu. W końcu wyciągnęła ciemnobrązowy sztyft, szminkę, poprawiła kontur ust, kilkoma ruchami rozprowadziła ją równomiernie na obu wargach, krytycznie spojrzała w nieduże lustro. Nieznacznie skinęła głową, zadowolona z efektu. – Uważasz, że te wszystkie wiary...

- Tak uważam. – Wiedziała, że ten ton, którym ją nieco zaskoczył, oznaczał koniec dyskusji. Odezwał się stary frontowy żołnierz...
- Ale córki wychowamy w naszej wierze, to musisz mi obiecać!
- Tak, Anno. W naszej. Z szacunkiem dla innych.

Stacja kolejowa Nowojelnia nie wyróżniała się niczym od wielu innych, leżących na tej trasie. Był to nieduży budynek, w którym były dwa okienka kasy biletowej, gdzie żona zawiadowcy – a w godzinach od 11.00 do 15.00, w czasie największego nasilenia ruchu pociągów, zatrudniona dziewczyna z pobliskiego Nowogródka – sprzedawała bilety wyłącznie do stacji leżących na trasie Wilno – Równe, i na wąskotorową Nowojelnia – Lubcz przez Nowogródek. Ta druga trasa, wybudowana jeszcze za czasów carskich odnoga od trasy głównej, pozwalała skomunikować Nowogródek z Wilnem, ale przede wszystkim służyła za drogę do przewozu pozyskanego w okolicznych lasach drewna, największego bogactwa tej części Polski. Zapotrzebowanie na produkt leśny było ogromne, szybko rozwijająca się sieć kolejowa wymagała nieskończonej liczby podkładów, budownictwo żądało wielkich ilości desek, fabryki mebli pracowały pełną parą, ale i tak najważniejsze było drewno na domy i na opał. Ziemiaństwo, to osiadłe tam z dziada pradziada, czując koniunkturę i widząc możliwość szybkiego wzbogacenia się, na potęgę rąbało lasy, nie patrząc na szkody, jakie wyrządza otoczeniu. Ciężkie, belgijskie konie ściągały wstępnie obrobione kłody sosen, świerków, buków, dębów, modrzewi i klonów do punktów składowych, gdzie już czekali na nie kupcy, płacący od ręki i skupujący je na pniu, by potem dalej spławiać je Mołczadzem i Niemnem – wyławiając po drodze i wioząc do okolicznych tartaków, których dziesiątki ulokowały się na obu brzegach rzek – lub ładować na odkryte wagony kolejowe i od razu wieźć do centralnej Polski, do zakładów, gdzie masywne pnie w akompaniamencie równomiernego i monotonnego jazgotu traków, były cięte na belki, deski, czy

łaty. Wysoko ceniono drewno z nowogródzkich lasów. Było równe, zwarte, twarde jak zamieszkujący tam ludzie, bez sęków i narośli, zdrowe i proste jak droga pod Równym. Doskonale nadawało się na maszty statków, na lekkie konstrukcje hal, na parkiety i na wysokiej klasy meble do najważniejszych salonów i biur w Polsce. Powietrze było przesączone zapachem żywicy, trocin, suszającego się, poukładanego w równe sągi wytworu pospołem natury i człowieka. Także tu, w Nowojelni, funkcjonowało kilka tartaków, które nie narzekały na brak pracy. Nawet teraz, gdy pociąg zwalniał, do wagonu zaczynał dolatywać jednostajny, dudniący szum pił, przykrywający szmer i pisk kół trących o metalowe szyny.

Paweł spojrział na kieszonkowy zegarek i uśmiechnął się delikatnie: wskazówki zatrzymały się dokładnie na godzinie 10.42, gdy stalowy potwór stanął przy peronie. Wysiedli z wagonu. Paweł pomógł Annie zejść, trzymając ją delikatnie za łokieć. Bała się, że obcas wpadnie jej w szczelinę i zostanie bez buta. Chwilę później znakomita lokomotywa *Pt31*³, wyprodukowana kilka dni temu w Chrzanowie, dała długi przeciągły sygnał gwizdkiem. Uderzyła para, koła straciły przyczepność i przez krótką chwilę buksowały w miejscu, ale podsypyany na szyny piasek zrobił swoje. Cały skład mocno chwycił tory, pociąg ospale ruszył do przodu, przyspieszył i po kilku minutach widać było tylko znikające za zakrętem kłęby dymu, które czarny, mocno rozpędzony już smok wyrzucał z walcowatego, równie czarnego jak reszta konstrukcji, komina. Do odjazdu kolejnego pociągu, tym razem już do Nowogródka, mieli tylko kilka minut, ale chodzący po peronie zawiadowca silnym tenorem informował, że lokomotywa się zepsuła i że czekają na podstawienie drugiej, a to chwilę potrwa. Tak z godzinę, może trochę dłużej. Stolarski, który długo i dokładnie tłumaczył im zaślony trasy do Koszelewa, wspominał, że w czasie oczekiwania na połączenie, warto w Nowojelni, w restauracji dworcowej, zjeść obiad. Menu mają podobno dość skromne, ale jedzenie jest smaczne, w restauracji jest czysto, a właściciele są sympatyczni. Czując już nieco zmęczenie najpierw oczekiwaniem na dworcu w Lidzie, później niespodziewanym przedłużeniem podróży i perspektywą

³ *Pt 31* – polski parowóz konstrukcji inż. Kazimierza Zembrzuskiego, produkowany w latach 1932-1940.

czekania na kolejny pociąg, Paweł niewiele się namyślając, skierował ich kroki do niedużych, przeszklonych drzwi z krzywo wiszącym napisem: „Restauracja”.

- Nie stać nas, Pawełku! – szepnęła Anna.
- Stolarski mówił, że nas nie zrujnuju...
- Stolarski różne rzeczy mówił, kochany! – powiedziała, ale nie hamowała ich marszu.
- Spróbujmy, ja już i zmęczony, i głodny.
- Ale rozsądnie, dobrze?
- Dobrze, mileńka!

Wiedziała, że Paweł nie będzie szalał. Był zbyt trzeźwo myślący, zależało mu na ich rodzinie. Pierwszą żonę pochował, gdy Aldonka i Helusia były zupełnie małe. Wiktoria zmarła na zapalenie płuc, lekarz rozkładał bezradnie ręce. Zaraz po jej pogrzebie, ciotki, stryjenki, świekry, matka i teściowa naraiły mu bogatą wdówkę z własnymi dziećmi, posiadaczkę dwóch kamienic w Wilnie i dobrze prosperującego interesu, ale on nie chciał o tym słyszeć. Wiktoria była jego życiem, czekała nań przez całe lata, gdy on wojował. To ona przygotowywała wyprawę weselną, gdy już wrócił. Pobrali się w 1924 roku, wyprowadzili się do Lidy, gdzie on został najpierw dowódcą drużyny a później plutonu, by w końcu zostać kancelistą wojskowym. Ona prowadziła dom, zajmowała się córkami, jak każda z mieszkających w koszarach pań gotowała obiady, prała, sprzątała, czasem chodziła do niektórych żon oficerów na plotki, takie nic nieznaczące babskie gadanie. Tamtego roku poszli na spacer nad rzekę Lidę, wtedy Wiktoria się zaziębiła. Zawsze była słabego zdrowia, więc natychmiast wezwano koszarowego doktora. Przyszedł poważny mężczyzna ze słuchawką, osłuchał, pokiwał głową i powiedział, że natychmiast do łóżka i leżeć przynajmniej trzy dni. Wiktoria oczywiście nie posłuchała, jak tylko poczuła się lepiej, zaordynowała mycie okien w domu, bo to Wielkanoc za pasem, a kto to słyszał, by na Wielkanoc w domu były brudne szyby? Po umyciu dwóch z nich osunęła się na ziemię i nie odzyskawszy przytomności, zmarła w pierwszy dzień Wielkanocy, opatrzona sakramentami,